

TYGODNIK *P*OWIEŚCI.

Nr. 9.

POZNAŃ 30^{go} Listopada 1878 roku.

Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi
rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki —
kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie
1 zlr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie
i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

J. J. JEZA.

(Ciąg dalszy).

IX.

Obiecałem pokazać czytelnikowi naszego Edwarda w stanie szczęśliwości. Dotrzymuję obietnicy, wybierając do tego moment owę wielką czkawkę, przy której parę razy powtórzył sobie na głos:

— Co u licha! ktoś mnie wspomina.

Seisnął ramionami i splunął. Któż by go wspominał! Przyjaciół nie miał. Krewni musieli już o nim zapomnieć, jak on zapomniał o nich. Nikomu nie zrobił dobrze. Względem nikogo, przed trybunałem własnego sumienia, nie poczuwał się do niczego złego. Któż by więc miał się zajmować jego osobą!

A osoba ta godną była uwagi, pod względem zmian, jakie z nią zaszły.

Edward nie był już podobny do owego Edwarda, którego czytelnik widział w akademickim mundurze. Był to już człowiek w całym tego wyrazu znaczeniu. Utył, ale o tyle tylko, że figura jego stała się kształtniejszą, bardziej, że tak powiem, wykończoną. Nogi, zdaje się, zmniejszały, ręce wydelikatniały, paznogie nabrały koloru różowego, chód zrobił się lekki i zdrobniał i odznaczał się na kamieniach lub niezasałanej dywanami posadzce pewnym dzwoniącym odgłosem obcasów, po którym można go było zdaleka rozpoznać.

— *Charmante tournure*, powiadała o nim Dyana.

Włosy jego i zarost twarzy, pod artystyczną ręką perukarza, ubrały oblicze w ramy, nadające mu pozór męzki i trochę marsowy, ale niesurowy, ani też zbyt za-

maszysty. Wąsy nosił *à la Henri IV.* faworyty *à l'anglaise*, włosy nie wiem na czyj wzór, podobno według oryginalnego pomysłu samą Dyany, która lubiła ubierać tę, jak się o nim wyrażała:

— *Charmante figure.*

Pod względem moralnym, stanął Edward na kulminacyjnym punkcie wewnętrznego zadowolenia. Stanął na nim od paru już lat, to jest, od chwili, w której, w swojej szufladzie, znajdującej się jak wiemy w kassie Dyany, doliczył się *stu tysięcy* złotych polskich. Doliczył się i powiedział:

— Już.

To „już“ zawierało w sobie myśl następującej treści:

— Cokolwiek by się stało, przyszłość moja zadowolona, byt zabezpieczony.

Dziwił się, jak mu to osiągnięcie celu życia przyszło łatwo, bez pracy, bez kłopotów, a dla wytłómaczenia podziwu, przypominał sobie lekcję profesora politycznej ekonomii o produktywności monety.

— Pieniądz pieniądz robi, taką była treść owę lekcji.

— Prawda, mówił do siebie, oto z czternastu tysięcy narosło mi sto i rosną dalej; niechże sobie rosną, od przybytku głowa nie boli.

Możeby nie był do podobnej przyszedł konkluzji, gdyby miał być najmniejszy w Kamionkach powód do niezadowolnienia.

Pomijam wygody pomieszkania i usługi jakimi był otoczony. W jego pierwotnych pragnieniach grały

one rolę podrzędną. Były one dla niego dodatkiem fortuny, dodatkiem do którego się przyzwyczaił i nauczył się go cenić; rozumiał wartość miękkiego łóżka, cienutkiej pościeli, sprężystych kanap, zapadających się lub chustających fotelów, wysokich sufitów, wietrzonych i okadanych pokoiów, froterowanych posadzek, kobierców na podłodze, zręcznych i odgadujących myśli lokai; rozumiał to tak dalece, że począł już nie pojmywać, jak ludzie bez tego wszystkiego obchodzić się mogą. Lecz po nad to wszystko było coś ważniejszego, a tem „coś” była, kuchnia.

Edward się rozsmakował. Wydoskonalił sobie podniebienie do tego stopnia, że mu smak potraw cieniował się w ustach w najdelikatniejszy sposób.

Jak o cudzie, opowiadano mi o pewnym handlarzu win, któremu mieszano wina różnych gatunków i on przez samo téj mikstury pokosztowanie, rozpoznawał jój skład. Do téj saméj doskonałości doszedł Edward we względzie przypraw, z tym dodatkiem, że nie tylko skład, ale ilość i jakość rozpoznawał. Odrobina więcej lub mniej soli, sól kamienna lub warzonka: on się na tem przy pierwszej łyżce zupy poznawał. Poznawał się na jakości ognia, użytego do gotowania téj lub owéj potrawy. Poznawał się na ilości pary, która się z téj lub owéj leguminy ulotniła. Poznawał się na ciężkości ręki, która ten lub ów sos rozcierała. Dla niego kurze jaja dzieliły się na gatunki według skoncentrowania żółtka, a skoncentrowanie rozpoznawał w mącznych pieczywach do których jaja wchodziły.

Smak rozwinął się w nim, jak w innych ludziach nadzwyczajną jakąś zdolność. Tę zdolność uprawiał, z całym zamiłowaniem artysty. Nie tylko jadł i lubował się jedzeniem, ale i o jedzeniu myślał.

Myśląc o jedzeniu, myślał o własnej przyszłości.

— Dyana po najdłuższem, co daj jój Boże życiu, tak sobie rozumował, w końcu umrze. Po jój śmierci Kamionki opuścić muszę.

W obec téj perspektywy ułożył sobie program życia na przyszłość, a w tym programie, główną rolę grała kuchnia, a w kuchni sam wybór potraw i przysmaków, ułożony stósownie do dochodów, jakie mu produkcja pieniędzy zapewniała. Z westchnieniem wykreślał z programu rzeczy zbyt drogie, jeżeli zaś niektóre z nich zatrzymywał, to tylko na pewne dni w roku, na święta, które czcić zamyslał, jako to: własne urodziny, własne imieniny, rocznicę poznania Dyany, Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc, Zielone Świątki i parę innych. Zresztą, były wprawdzie dodatki czwartkowe i niedzielne, ale ogół składał się z rzeczy prostych, tylko „smacznie i czysto” zrobionych. „Smacznie i czysto” były to warunki *sine qua non*, które studiował. Zrobił sobie plan kuchenki i ten plan zmodelował. Miało to być istne pieścidełko, co do rozmiarów drobne, lecz pod względem zasobności kompletne, ubrane, niby w armaturę, w rądelki, patelnie, sitka, warzęchy, siekacze, szczypce, iglice, etc. etc. etc.

Studjum programu zajmowało go szczególnie od chwili doliczenia się stu tysięcy. Było to zajęcie skomplikowane drobiazgowem obrachowaniem kosztów tak zakładowych, jako też bieżących. Do zakładowych należał domek z ogródkiem, rozumie się własny, mebelki, sprzęciki, urządzenie kuchenki, zakupienie naczyń i założenie piwnicy i spiżarni. Na to wszystko przeznaczał te procenta, które do stu tysięcy przyrastały i obrachował sobie, że po trzech latach przyrastania będzie już mógł przystąpić do wykonywania planu, to jest, do przygotowania dla siebie gniazdka-pudełeczka, do którego mógłby się schronić natychmiast, jak skoro Dyana oczy zamknie. Pozostawał mu jeszcze rok. Tymczasem więc rozmyślał nad wybraniem miejsca, łączącego w sobie wszystkie warunki wygody, a więc położonego gdzieś w pobliżu wielkiego miasta, ale nie w samym mieście, obok źródła żywej wody, dobrej do picia i tuż przy wodzie miękkiej, najlepszej do gotowania. Rozmyślał i miał zamiar wyjechać na oględziny Kercza, Teodozyi, Bałakławy, dla klimatu bowiem nie chciał się rozstawać z południowem wybrzeżem Krymu.

W biurku jego, obok listów pochwalnych, świadectw zaszczytnych i atestatów, które z czasów szkolnych zachował, spoczywały: wykończony zupełnie plan domku i wypracowany w kilku arkuszach, kształtnym zapisanych charakterem, program życia. Praca ta, była to rozmowa jego z samym sobą, plód ulubiony, wytworzony przez niego i dla niego. Nie chwalił się przed Dyaną, a to dla tego, że musiał by jój powiedzieć:

— Oto, jak ja zamierzam urządzić się po śmierci pani.

Cieszył się więc tem wszystkiem, w głębi własnej tylko duszy, do uciechy dołączając życzenie jak najdłuższego dla Dyany życia.

Życzenie to było bardzo szczere. Jakkolwiek bowiem uśmiechała się mu nadzieja posiadania własnego kącika: jednakże bez żalu nie mógł myśleć o perspektywie opuszczenia Kamionek, które kwitły istnym rajem, łącząc w sobie ciszę, spokój i wygodę, posunięte aż do rozkoszy, aż do zbytków, z którymi rozstanie się nie mogło nie sprawić mu przykrości.

Dyana była dla niego jednakowo uprzejma, dobra i wylana.

Po odjeździe Eliasza pozostało ich dwoje: ona i on, ona jako kasztelanka w zamku wśród gór, on trochę jako jój rycerz, trochę jako burgrabia. Oficjalnym jego charakterem było zawsze lektorstwo, które go regularnie sprowadzało rano do tureckiego saloniku, wieczorem do sypialnego Dyany pokoju. Nieoficjalnie zaś, nie mniej przeto faktycznie, był panem domu, uznanym nie tylko przez służbę, lecz przez wszystkich tych, którzy bezpośrednio lub pośrednio, stale lub chwilowo, z Kamionckim dworem w styczność wchodził. Do takich należeli różni dostawcy, lekarz, którego obowiązkiem było co tygodnia przyjeżdżać, rządcy dóbr Dyany, plenipotenci i różni oficjaliści, przybywali ze sprawozdaniami,

petycjami, skargami i rozmaitemi interesami i nakoniec goście, których ciekawość zapędzała w góry Taurydy.

Dla tych ostatnich, pałac wielką rozwijał gościnność. Dyana wielce im bywała rada: byli to bowiem, jeżeli nie cudzoziemscy turyści, to motyle z wielkiego świata, latający w celu pohartowania lotów i odświeżenia na południowym słońcu barw na skrzydłach. W czasie ich przybycia, pałac ożywał się; zaczynało się od tego, że Edward wychodził na spotkanie, uroczyście witał, wprowadzał i pośredniczył w recepcjach, jakie im dawała Dyana. Powtarzało się to każdego roku na wiosnę i w jesieni. Sława gościnności coraz to liczniejszych sprowadzała gości. Zjeżdżało się niekiedy po kilka i kilkanaście osób płci obojej. Niekiedy zajeżdżali myśliwi z całym taborem i wówczas pałac stawał się teatrem scen, których obrazy zachowały nam średniowieczne podania o zamkach rycerskich i o kasztelankach.

Goście zapowiadali się sami. Prowadząca do pałacu droga szła w ten sposób, że każdego przejeżdżającego widać było zdaleka, przez całą bowiem godzinę defilować musiał przed mieszkańcami Kamionek na pochyłości góry, spuszczał się w dół, ginął przez chwilę za załomem skał i powtórnie ukazywał się na wysadzonej platanami drodze wprost do bramy wiodącej. Jeżeli się kto przeto na pochyłości góry ukazał, natychmiast dawano znać Edwardowi i ten wychodził na spotkanie, zwykle aż do bramy i prowadził przybyłych do osobnego pawilonu, w którym raz na zawsze przygotowane były dla gości pokoje.

Razu pewnego dano mu znać, że goście jadą. Było to w jesieni, w kilka miesięcy po czkawce, czyli po spotkaniu się Eliasza z Endymionem w Homburgu. Edward wyjrzał przez okno i przez chwilę przypatrywał się przybywającym. Po drodze urwistej posuwało się po woli czterech jeźdźców i czterech ludzi piechotę. Dwóch jechało przodem, dwóch w pewnym za nimi oddaleniu, piesi zaś prowadzili trzodę, wyglądającą zdaleka jak barany. Po lepszym jednakże rozpatrzeniu, poznał Edward, że to psy.

— Uhm, pomyślał sobie, jacyś myśliwi. Ale do czego psów tyle!

Rzeczywiście, psów było za dużo, że dwa tuziny nie zesforowanych, jak tego prawidła myśliwskie wymagają, idących swobodnie pod przewodnictwem ludzi pieszych.

Wziął Edward binokle i skierował je na drogę. Jadący przodem wydali się mu nieznanymi, w jadących z tyłu poznał tychże dżokejów; piesi ludzie zatrzymali na sobie najdłuższą uwagę jego, z powodu karności, w jakiej psią trzodę utrzymywali. Ogromne psy szły w ścisłej chociaż nieregularnej kolumnie, a nieregularnej z powodu drogi, zważając się w niektórych punktach

w ścieżkę, po której i jeźdźce przejeżdżać musieli po jednemu. Edwardowi doskonale znana była ta droga, nie dziwiła go więc ostrożność, z jaką podróżni się posuwali i nieporządek, z jaką psia trzoda maszerowała; lecz nie mógł powstrzymać podziwu, gdy ujrzął, iż jeden z jadących przodem jeźdźców, w miejscu, w którym droga była szerszą, tuż naprzeciw pałacu, zatrzymał się i został, towarzysz zaś jego, dżokeje, ludzie piesi i psy, przeszedłszy mimo niego, pociągnęli dalej i wkrótce znikli za załomem, z za którego mieli wysadzoną platanami aleją wjechać w bramę.

Ten pozostały na drodze, może trochę zanadto zaostrzył ciekawość Edwarda.

— Co to znaczy?

Z tem zapytaniem w myśli udał się do bramy, kazał ją odźwiernemu na rozcież otworzyć i czekać na zbliżającego się nogą za nogą gościa,

Czekanie trwało minut kilka. Edward stał na środku bramy z pięcikiem w rękę, z uśmiechem na ustach i z wiszącą na języku przemową:

— Witajcie w progach naszych.

Jeździec się zbliżył. Edward usta otworzył i przemówił, lecz przemowy nie dokończył. Drugi wyraz zagrzął mu w gardle. W jeźdźcu poznał Eliasza, a poznał go po głosie, którym ten, ukazując na niego szpicrutą, krzyknął na ludzi pieszych:

— Tego!... Hajże!...

Jeden z pieszych huknął na psy:

— Haj-że!

W chwili tej trzoda cała ze skomleniem i szczekaniem rzuciła się na Edwarda.

Elias z dżokejami wjechał w bramę. Nie zsiadając zatrzymał się nieopodal od wschodów, zwrócił konia włożył w oko kukier i obojętnie przypatrywał się widowisku walki naszego bohatera ze zgrają psów.

Było to widowisko godne owych, kiedy niegdyś gladyatorowie ludowi rzymskiemu dawali. Przypatrywała się mu cała służba, która, wywabiona niezwykłym hałasem, wybiegła i na skinienie Eliasza stanęła w niemem osłupieniu, zbита w gromadę nieopodal od pałacowych schodów.

Edward bronił się z rozpaczą przeciwnikom, których trzy wystarczało na rozszarpanie go na sztuki. Lecz były to psy świętego Bernarda, te zaś jak wiadomo, nie zagryzają ludzi na śmierć. Edward o tym szczególnie nie wiedział. Na rozkaz dany przez dozorcę psom, napadnięty znienacka i powalony za ziemię, zerwał się i myślał, że tu o jego życie chodzi. Bronił więc życia, wyężdżając wszystkie siły na odepchnięcie od siebie napastników, którzy z wyciem, skomleniem, szczekaniem i kłamcaniem zębami, zbrojącymi ogromne ich paszczęki darli się do niego, rzucali się, szarpali na nim odzież, chwyтали go za kark, za ręce i nogi i zaledwie powstał, znów go na ziemię walili.

(C. d. n.)

Pamiętniki komedyanta.

P. GYULAIA.

(Z węgierskiego).

(Ciąg dalszy).

IV.

„Bodáky może sobie innego aktora, publiczność innego błazna, moja gospodyni inną poszukać córki. Woźnico, prędzej popędzaj, pozwól koniom puścić się w dzikim galopie, żeby podkowy iskry krzesaly i wóz w powietrzu pędził! A ty mój miły gołąbku, nie bój się niczego. Oprzódź się o pierś moją i śpij. Na niebie ukażą się razem obie nasze wybrane gwiazdy, na ziemi czuwać dwóch przyjaciół nad nami, czarny sufler i noc. Klnij teraz, okradziona matko. Nie boję się żadnego przekleństwa, jestem do klątwy nawykły i zniósłbym chętnie klątwy milionów za to od milionów godne zazdrości błogosławieństwo.“

Wykradłem to łagodne niewinne, małe dziecko.

Ach, ona pojmowała szybko i uczyła się niestety jeszcze szybciej studjów miłości. W pierwszym tygodniu nazywała mnie jeszcze swym przyjacielem i zwieszała się na mój szyi, po czternaście dniach graliśmy „Romea“, na którego ustach składa „Julia“ pocałunek, w trzecim tygodniu leżała w mych objęciach łagodnie i niewinnie, jak baranek ofiarny, uśmiechając się i drząc, jak Jo, kiedy pocałunek obłoku poczuła. Cóż ma oznaczać ten dwóznacznym uśmiezek kelnerko? Czy mniemasz może, że był podobien do twego pierwszego kochanka? który być może cię nawet kochał, ale zapewne nigdy nie szanował, który nawet płakał po tobie, ale nie umiał jednak cię żałować? Ja ją ubóstwiałem, a w chwili, kiedy ją w objęciach trzymał, szeptały usta moje modlitwę. Ha, szalencie ze mnie! Ona była posągami do którego jam się modlił, a przy wszystkich tych błogosławieństwach Bożych cierpiełem pragnienie i byłem zgłodniałym. Dziś jestem już podżyły w latach, troska zbieliła mi włosy przed czasem, złudzenie oziębiło me serce, a nędza krew we mnie zmroziła; ale gdyby ona tak raz jeszcze na mojej zawisła szyji z tą pierś burzliwą, gdyby wzniosła swe załzawione oko — w którym srom i uciecha się pobratały, gdyby przytuliła swą zaczerwienioną twarzyczkę i chciała drzącymi ramionami, jak niegdyś, mnie objąć, na Boga, czuję, że bym odmłodził, że wzburzony przycisnąłbym ją z krwią podrażnioną, do siebie, zerwałbym jej lilię na czole, ustami memi wyssałbym z niej słodką, młodą duszę a gdybym po godzinie uczuł odrazę, to odepchnąłbym ją potem od siebie, odrzucił jak wyciśniętą cytrynę. A gdyby za mną poskoczyła wołając:

„Oddaj mi szczęśliwe chwile niewinności, mój spokój, skarby mój młodości, uwolnij mnie od hańby i zgryzoty sumienia, wyswobódź z czyścica ogólnego szyderstwa.“ odpowiedziałbym jej z tak szyderycznym śmiechem, że uliczny lud zbiegł by się i ona wstydzićby się musiała haniebnego kłamstwa.

Trzeciej nocy byliśmy już niedaleko Koszyc celu naszej podróży i Kornelja, tak Kornelję ją nazwę a nie ową małą niewinną dziewczynką i przeklnę godzinę, w której miałem ją za taką. otóż Kornelia spała słodko, skłoniwszy główkę na piersi moje. Objąłem ją z lekka ramieniem, przykryłem mym płaszczem i ogrzewałem mym oddechem. Woźnica śpiewał smętną piosenkę, czarny sufler kurzył swą fajkę gapiąc się na księżyc zatopiony w myślach, ja zaś znajdowałem niebo w rysach mój śpiącej kochanki i marzyłem właśnie o naszej przyszłości, kiedy mi naraz coś na myśl przyszło.

„Héj,“ zawołałem na suflera, „jesteś mądrym człowiekiem, powiedz mi czy można wierzyć w miłość? Znasz przecież teatr na wskroś, co myślisz: Czy może też aktorka być dobrą i wierną żoną?“

„Wierną i dobrą, co za głupota! Smieszność! Z takimi pojęciami, Dawidzie, wyśmieję cię.“

„Jesteś nie mądrym.“

„A ty zakochanym.“

Podczas tej rozmowy zbudziła się Kornelja. Była w najlepszym humorze, wesoła i szczebiotała. Ja byłem zadumanym, co ją przestraszyło i smutnie nastroiło. Wtedy powiedziałem jej, że miasto już niedaleko i że chwila rozstrzygająca zbliża się ręczno i zapytałem jej się, czy rzeczywiście na serwo chce zostać aktorką.

Radziłem jej dobrze nad tem się zastanowić, teraz, kiedy czas jeszcze po temu, bo raz próg przestąpiwszy, nie masz ztamtąd wyjścia. — „Aktórkę opinia i świat, jak Cherubini pilnujący bramy niebieskiej, napędzają bez litości na scenę, a raz zakosztowany czar sceny, upija ją i nęci.“

Potem odmalowałem jej nędzę teatru ze wszystkimi jego trudnościami, które są bardzo wielkie, z jego przepaścią, przyprawiającą o zawrót i z jego przeszkodami, które są nie zliczone, a mianowicie dla aktorki podwójnie ciężkie do zniesienia, ponieważ są podwójnie wielkie.

„A do tego jeszcze u nas na Węgrzech, gdzie

przed aktórką zamknięte są drzwi każdego lepszego towarzystwa, a otwarte tylko do takich, w których rodzi się i mieszka rozkosz i grzech, hańba i wstręt do życia; bo każdy, kto zapłacił przy kasie za bilet, rości sobie prawo nie tylko do artystki, jako takiej, ale także i do jęj serca. Nie należy ona więc do siebie, rzuconą jest na łup publiczności, tej chimerycznej, srogięj publice, która dzisiaj artystce klaszcze, a jutro ją wygwizda, dziś o względy kobiety się stara a jutro się mści na aktorce. Najprzód ją uwieńcza, jak starożytni swoje ofiary, potem morduje jęj szczęście i honor, wydziera jęj wiosnę młodości, a w zimie życia wypycha ją na noc burzliwą. Aktorka, o hańbo, zajmuje wyjątkowe stanowisko między wszystkimi kobietami. Do niej zbliża się każdy w inny sposób, z innymi myślami i innymi zamiarami, niż do każdej innej godnej szacunku kobiety. Jęj rany chcą ukryć w wieńcach, spokój życia rodzinnego zastąpić oklaskami. Zamiast szczęścia zsyłają jęj promienie sławy, zapewne aby się nasycić tęczą, która z jęj łez urywanych błyszczy. Jeżeli chce być inną, jak drugie, zostaje spotwarzoną, znieawidzoną, jeżeli robi jak one wtedy spotyka ją naturalnie szyderstwo i pogarda, a jeżeli niewinna kobieta swęj skłonności ze swemi zdolnościami, swego zamiłowania sztuki z próżnością nie zamieniła i za cenę podeptanego żywota nie mogła ani sławy sobie okupić, jak szybko musi wtedy upaść pod ciężarem rozczarowania.

Przed nią szydercza publika, za nią bolesne wspomnienia, obok niej ostatnia rola — jest to epizod u którego kresu widnieją ogniste wyrazy: „oszaleje lub się zabije!”

Błagałem Kornelję, by pozostała moją żoną a wyrzekła się sceny. Sam będę walczył i pracował a wspólnie będziemy pili z kielicha pociechy i nagrody. Tak mogę ci tylko pół życia poświęcić, bo drugą połowę należę do publiczności. Pomożesz mi znieść moje cierpienia, po cóż, nowe jeszcze kłaść na się jarzmo boleści! Pozostań dla mnie, nie rzucaj się w ramiona tłumowi, tego chimerycznego, nędznego, srogięgo tłumu! tak ją prosiłem ściskając.

Kornelja płakała a podnosząc na mnie łez pełne oczy rzekła:

„Widzę, że mnie już nie kochasz, stałam ci się ciężarem. Kiedyś sam mnie nakłaniałeś, teraz mi odradzasz, tak się zapewne zmienią też wyznania twęj miłości. Czyż już nie pomnisz na minione, piękne dni? Kocham sztukę w tobie, a w sztuce kocham ciebie! Dla ciebie i dla sztuki opuściłam przecież matkę, moje kwiaty, moje gołąbki, moje wszystko, a ty nie masz już teraz dla mnie miłości i wątpisz o moim talencie. Nie jestem zapewne tak wykształconą i o wiele brzydszą od pani Elizy. Nawet o enocie mojęj wątpisz i nie mylisz się, bo byłam tak lekkomyślną i poszłam za tobą. To mój występ! lecz wszystko chętnie bym zniosła, byle tylko tobie nie stać się ciężarem, a teraz — ach wiem dobrze, serce twe zimne dla mnie.”

Łzy przysłoniły jęj słowa. Spoglądałem pogrążony

w bólu tak jakoś dziko przed siebie, że się aż na mnie czarny sufler szyderczo zagapił; ubodło mię to srogo Wówczas przytuliła się do mnie, uściśnęła mnie, oszuszyła mi łzy i zaczęła mówić owym melancholijnym, słodkim głosem, którym mi po raz pierwszy swą miłość wyznała. Co mówiła, nie wiem. Ten szatan oćzarował mię, obrał mnie z rozumu. Byłem nędznym jak niewolnik, pożałowania godny, jak waryat.

Dyrektor, któremuśmy zostali poleceni — przystojny, młody mężczyzna, zawsze uśmiechnięty — przyjął nas z wielką radością. Zostaliśmy natychmiast zaangażowani. Podziękowałem mu za jego uprzejmość i prosiłem zarazem żonę jego, aby pozwoliła Kornelii mieszkać przy sobie. Powierzyłem jęj całą naszą tajemnicę, wyznałem jak ją kochałem i że skoro tylko potrzebne nadejdą dokumenta, z nią się ożenię. Nim się to stanie, będę jęj obrońcą i stróżem, jęj nauczycielem, jęj bratem, jęj ojcem. Dyrektorka chętnie zezwoliła. Jęj małżonka ucieszyło to prawie więcej jeszcze, jak mnie. Co za szlachetny człowiek, pomyślałem.

Towarzystwo, którego członkami zostaliśmy, było jedno z najlepszych we Węgrzech. Wielkie miasto, pewien rodzaj zamożności wywarły na mnie dobroczynne wrażenie. Studjowałem z nowem natchnieniem i grałem ze znacznem powodzeniem. Moi rywale pobledli. Publika klaskała, znawcy sztuki uśmiechali się z zadowoleniem, miłość własna łechtała mnie. Nie zapomniałem też o Kornelii i kochałem ją namiętnie i nieustannie. Studyowała pilnie, robiła szybkie postępy i poświęciła się, tak się przynajmniej zdawało, całej sztuce. Cieszyłem się, radowałem bez granic widząc, że po pierwszym debiucie niezwykle jęj powodzenie, nie ją nie zmieniło, że kochała mię jak dawniej. Wy próżne, wy lekkomyślne kobiety, wy Bachantki Talii, wskażę wam wkrótce, czem jest artystka i czem być powinna! Wy odarliście to imię z jego świętych listków, których mu bogowie udzielili. Niezadługo zabłyśnie on na czole Kornelii; święta kapłanka, dziewicza oblubienica niebiańskięj sztuki!

Cała publika była zaślepiona w Kornelii. Od gimnazystów począwszy aż do salonów wszystkich serca były w ruchu. Te wizyty, ta masa listów! Wizyt nie przyjmowała, listom jednak oprzeć się nie mogła, te musiały być przynajmniej przeczytane, prosiła mnie tak serdecznie o to. Listy obudziły w niej zajęcie! Ha! ha! ha! Te listy! Pewien student napisał wiersze, które wykradł z podręcznika jakiegoś, inny wyznanie miłosne, z jakiegoś romansu wyjęte. Jakiś kupiec „prosił uniżenie“ okropną ortografią by mu to za złe nie wzięto, iż ośmielił się zaofiarować najpiękniejsze swe jedwabne materye. Każdy z tych listów zdradzał winiętą, ozdobnemi brzeżkami, zapachem wreszcie, od kogo pochodzi.

Listy kawalerów pisane były na delikatnym, pachnącym papierze ze złotą obwódką i były pełne wyszukanych frazesów, skrytych aluzji i życzeń, zawarcia z czarującą artystką osobistej znajomości. Nawet brosz, namamienników i t. p. nie brakło przy bezimiennych liści-

kach, oddawca jednakże prosił zawsze o pozwolenie, wyjawienia nazwiska dawcy „w tajemnicy.“

Śmiałyśmy się często godzinami, wtedy i ja zabierałam się do odczytywania moich liścików, gdyż liczba kobiet we mnie zaślepionych była też nie małą, a pomiędzy nimi nie jedna hrabina.

Ale ja kochałam tylko mą Kornelią, a tak w swym małym pokoiku, jak i na deskach, które świat oznaczają była ona jedyną moją kochanką. W teatrze potrzebowaliśmy tylko sceny z naszego miłuchnego pokoiku dokończyć. O miłości, o sztuko! O wy błazeńskie dni méj martwój młodości!

Od niejakiegoś czasu zmieniła się Kornelia zupełnie — ja w mem upojeniu niestety dopiero później to spostrzegłem. Z początku nie chciałem temu wierzyć, potem uwierzyłem znowu więcej, aniżeli było w istocie. Nudziła się. Kobieta nudząc się jest już karygodną, bo gdy się nudzi, wyrastają już, choć jeszcze niewidzialnie, rogi na czole jój męża. Czasem wcale na mnie nie zważała; kiedym mówił, poskoczyła naraz do okna, by zobaczyć gwar na ulicy, potem chciała, bym ją wprowadził w towarzystwo, gdyż ją zamknąłem z zazdrości a to niedowierzanie bardzo ją boli, kocha mnie bowiem prawdziwie serdecznie. Miała słuszość, byłem zazdrośnym, ale dopiero odkąd ciemne podejrzenie do mego zakradło się serca. Zadrzała potem jednak przed dzikim wyrazem méj twarzy i rzuciła mi się na szyję. Przycisnąłem ją tak gwałtownie do siebie, że aż zapłakała.

„Chcesz mnie zabić, jesteś podejrzliwy, a jednak kocham cię więcej jak kiedykolwiek“ łkała.

Kiedym łyzy jój spostrzegł, wtedy znalazły oddźwięk mimowoli w mem wnętrzu słowa Otella:

„O kobieto! gdyby

„Ziemie zapłodnić mogły łyzy niewieście,

„Z każdej ich kropli powstałby krokodyl.

W następnej chwili rzuciłem się jój znowu do nóg i wypowiedziałem jój najpiękniejsze ustępy z ról moich, mówiące o przebaczeniu o wierności i miłości. Odsłonię okna, pozwólcie zajrzeć ciekawemu motłochowi, pokażcie im, jaką wspaniałą tragikomedją tu gramy. Szekspire i Molière, Garrick i Rachel wstydzicie się muszą.

Niekiedy prosiła mnie Kornelia, bym jój pozwolił ładniejsze sprawić stroje. Choć matka jój sama nie była zamożną i więcej na dziecko, niżeli na siebie wydawała, ubierała się zawsze porządnie. Teraz musi wyrównać słońcu. Ta aż do szyi sięgająca czarna sznurowana suknia zakrywa szlachetne kształty jój kibici, jest przecież jeszcze młodą, a potem — i mnieby to było przyjemniej i jój sprawiłoby radość. Sięgnąłem po moją zaoszczędzoną sumkę, by zadość uczynić jój prośbie. Lecz sprawione przezemnie suknie nie podobały się jój, tęskniła za piękniejszymi. Pewnego poranku wysłała naprzeciw mnie w nowój, wspaniałój toalecie. Szalony odskoczyłem na bok i zapytałem, zkąd te stroje. Bojaźliwie i drżąc jakby stała przed surowym ojcem wyznała, że niedawno wspomniała w rozmowie z dyrektorem półśłówkiem o toalecie, którą miała sposobność podziwiania w wystawie

sklepowej, a dzisiaj tę toaletę znalazła w swym pokoju. Podarłem tę suknię w kawałki, poczem ona prawie omdlała. Ale kiedym jój powiedział, że ten wykwintny dyrektor właściwie do niczego innego nie zmierza, jak tylko do wepchnięcia ją w długie, by ją tym sposobem jak niewolnicę przykuć do siebie; rzuciła mi się przerażona w objęcia, wybuchła łez potokiem, nazwała mię swym bratem, drogim ojcem, i prosiła o przebaczenie. Nie ma wątpliwości, kochała mnie. Kiedym co wieczór po przedstawieniu uwieczony i znużony głowę na jój ramieniu opierał, kiedyśmy jak się to często zdarzało, szli przez miasto, ludzie patrząc na nas, piękną parą nas nazywali. Gdym niekiedy burzliwe, wstrząsające godziny nieokiełznanej namiętności u jój stóp przepędzał, zdawała się żywić do mnie dumną miłość, mieć do mnie rodzaj nabożeństwa. Ale ja już stracił spokój. Słowo zazdrości brzmiało mi wiecznie w uszach. Inne myśli musiały ten wyraz w nią rozbudzić. Obawia się mnie, ma zapewne powód do tego, naturalnie ma powód. O czem myśli więc, kiedy jest samą, co wypełnia jój marzenia? Te myśli, te marzenia? Te myśli, te marzenia odkryj mi, o Wszchemogący, i weźm mi za to połowę życia mego.

A jednak! Jój oblicze jest tak niewinne, tak anielskie. Któż może przeczuć kobietę? Czyż jest gdzie serce tak opancerzone iż razem z najczystszymi uczuciami nie zdołają się doń dostać zamaskowane grzeszne myśli? Tylko legenda maluje diabła strasznego w okropnych kształtach. On jest pięknym, czarującym jak Kornelia.

Zdrzyjcie maskę, chcę ją zobaczyć!

Głowa mi się zawraca, jestem niezdolny do niczego. Dajcie mi pewność! Muszę mieć pewność, abym mógł zabić a potem kochać i tym sposobem spokój osiągnąć! O! Bóg z wami, sceno, święte godziny natchnienia, wolności, spokoju, sławo!

Dawid nie będzie odtąd ubóstwiał żadnej dziewiężej Muzy, bo kocha zwodnicze dziecię ziemi. Dawid umarł dla sztuki na wieki, aby żyć tylko dla drobnych namiętności. Na tem czole osiadzie zamiast laurów sławy — o przekleństwo wam... wieczne przekleństwo!...

Kornelia nie zrobiła od pierwszego swego występu znacznych postępów, przeciwnie codziennie stawała się słabszą. Miała zaiste piękny talent, ale brakło jój prawdziwego zamiłowania do sztuki. Próżność przyciągnęła ją do teatru, lekkomyślność podtrzymywała ją a chimery ją raczyły natchnieniem. Jój piękność, toaleta i niektóre stereotypowe manjery tworzyły istotę jój sztuki. Jako nowość działała odurzająco na publikę. Nie było tam ciepła naturalnego, wszystko tylko sztucznie wyrobione, nie było spokoju, ufności w siebie, tylko — zuchwałość. Stała nad brzegiem przepaści. Jeszcze krok a artystka napełniona świętym ogniem natchnienia, zostanie na wieki pogrzebaną, może zostać tylko już komediantką, która gorączkowo goni za afektami.

Napróżno ją błagałem, prosiłem; odpowiadała mi powołując się na powodzenie, na wieńce, kwiaty i uspakała mię pocałunkami. Uwierzyłem sam prawie, że się

myślę. Może ludzi mnie bliskość na scenie. Może gra jęj, wydaje się jak lichy malowane dekoracje, tylko z daleka piękna.

Pewnego wieczoru poszedłem do audytorium, by się o tem przekonać. Nie mogąc doczekać końca przedstawienia, wybiegłem. W całej swój nagości stała ona teraz przedemną, ta próżna, kokietująca intrygantka. Jęj kostjumy, jęj mowa, jęj ruchy, wszystko było obliczone na to, by się podobać. Na wpół zaledwie zwrócona do współdziałających, strzelała oczkami po parterze i deklamowała najnamiętniejsze miejsca swęj roli do łoż.

Może nawet nie wiedziała co grała, może rola, którą przedstawiała nie była jęj rolą. Z naiwnego dziecka natury, które miała przedstawić, zrobiła zwodniczą, ułudną kobietę, — może odgrywała siebie samą. O, hańbo!

Poznawszy niewłaściwość gry, zaczęło kilku sykać, ale większa część zagłuszyła ich zaraz burzą oklasków a ona z tém większą zarozumiałością grała dalej.

Z zamiarem oczekiwania na nią w jęj domu, udałem się do jęj mieszkania i rzuciłem się przybywszy tam znużony na kanapę. O ty mała, czysta izdebko, wy książki z złotemi brzeżkami, pachnące kwiaty, wierne zasłony i ty białe łoże, opowiadajcie mi tajemnice Kornelji, co robi, o kim marzy... Westchnąłem i powlokłem oczyma po izbie. Przeglądałem wszystko, nie zostawiłem nic nietkniętem, przewróciłem pudełka, przerzucałem książki i suknie. „Przekłęte kłamstwo!“ zawołałem nie mogąc nic znaleźć, coby moje podejrzenia usprawiedliwiało. — Każda wstążeczka, każdy świstek papieru były dobrymi memi znajomymi; gniewny, wzburzony i zawstydzony, rzuciłem się potem na jęj łożko.

W pokoju panowała cisza głęboka. Na moje zażawione oczy spadł uspokajający, miękki sen wyczerpanego bólu, na mą zmęczoną duszę cała poezja jęj dziewczęcego pomieszkania. Postać próżnej, kokietującej komedyantki rozwinęła się. Zdawało mi się, że unosi się nademną niewinna, wdzięczna, mała dziewczynka. Wydawało mi się, iż jestem oblubieńcem oczekującym oblubienicy. Dusza moja obumarła w tęsknych westchnieniach i obudziła się we łzach rozkoszy.

Kiedym otworzył oczy, czułem ręce Kornelji na moję głowie, a jęj pocałunek na czole. „O pocóż mówiłaś do mnie wówczas, po cóż mi pokazywała twoje wieńce? Czemuś nie pozostała uroczem niewinnem dziecięciem? Czemu mi przypominasz bezustannie, że jesteś aktórką, nęcącą swemi powabami publiczność? Czemu tak lekko nie przyciśniesz mię do siebie, bym przynajmniej przez krótką noc mógł w ciebie uwierzyć?“

Zerwałem się pełen wzburzenia i podeptałem jęj wieńce nogami.

„Jesteś próżną kobietą, kokietującą komedyantką! Lubisz wrzaskliwe oklaski, ale nie kochasz sztuki! Nie wiesz też wcale, co jest miłość, pragniesz tylko rozkoszy. O słaba kobieto, sroga kobieto, niesiesz zgubę sobie i mnie!“

Plakała.

Mówiłem dalej o miłości, o sztuce. Wynurzyłem

się przed nią aż do dna, wyjawiałem moje bóle, opowiedziałem przez jak dotkliwą przeszedłem szkołę, wtajemniczyłem w katusze, na jakie skazała mię szalona do niej namiętność. Nie przebierałem w wyrazach, musiałem dawać folgę męj boleści, mierzyła mię wzrokiem wyzywającym. — Krew uderzyła mi do głowy, przestawałem być panem siebie, zapominałem, że stoję w obec kobiety. We mnie kipiały tylko dzikie, nieokiełznane namiętności. Traciłem prawie przytomność. Ocknął mię głos Kornelii. Co mówiła dokładnie nie pomnę, dość, że każdy jęj wyraz ranił mię śmiertelnie, że deptała mnie nielitościwie, poniżyła w proch.

Piekło całe wrzało w mojem łonie — przyskoczyłem do bezbożnej, podniosłem rękę i dałem jęj policzek. . .

W tęg chwili otworzyły się drzwi przedpokoju. Niezawodnie dyrektor posłyszawszy hałas, chciał się dowiedzieć o jego przyczynie. Poskromiłem wściekłość moję, wszak jestem aktorem i nie napróżno ćwiczyłem się pilnie w mym zawodzie.

„Nikt w świecie nie powinien dowiedzieć się o tym skandalu. Przed dyrektorem ani słowa — jutro przyjdę. Serce i drzwi moje na zawsze dla pana zamknięte!“

„Kornelja udaje się na spoczynek — pragnie pozostać samą. — Dobranoc, panie dyrektorze!“

Dyrektor uśmiechnął się, ja popędziłem jak szalony do domu, a nazajutrz rano, znalazłem się znowu pod oknami Kornelji

Przez dwa dni nie mówiliśmy po za teatrem ani słówka i ściskaliśmy się tylko na scenie, ale czuwałem bacznie nad każdym jęj krokiem, bom ją kochał teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Sama sobie pozostawiona i bez opieki nie umiała w wielu razach sobie poradzić. Przeraziła się swoją wolnością i stała się niewolnicą bojaźni własnej.

Wiele minęło czasu nim oswoiła się z swem położeniem. Nie śmiała przyjmować wizyt i nie ukazywała się nigdzie na mieście. W jęj oczach dostrzedz można było łzy na twarzy jęj ślady boleści. Dyrektor towarzyszył jęj regularnie do domu i była zakłopotaną, jeśli ją tu i owdzie spotkał. Bywały chwile, w których pojednawczo, z prośbą oczy swe ku mnie podniosła. Nie mogłem dłużej się oprzeć i kiedyśmy wkrótce potem grali „Intrygę i Miłość“ Szylera przycisnąłem ją namiętnie do siebie. Odpowiedziała mi na mój uścisk gwałtowniej, niż na to jęj rola pozwalała, a skorzystawszy z pauzy wywołanej oklaskami, szepnęła mi na ucho: broń mię, dyrektor prześladowuje mię miłosnemi wyznaniem.

— Zapomniałem o publiczności i trzymałem ją długo w objęciach. Szczęściem, czarny sufler przypomniiał mi gdzie byłem. Grałem dalej, a jak mi mówiono, nie grałem lepiej nigdy w życiu.

Następnego dnia postanowiliśmy opuścić miasto.

Cały świat przecież stoi nam otworem, całe dwadzieścia pięć komitatów Węgier. — Przecież w każdej wsi mogą zbić nam kilka desek, wszędzie rosną kłosa które naszemu ciału pożywienie, głównie spoczynek dać

mogą. — Wesołość, swoboda, muszą nam towarzyszyć; sztuka będzie naszym celem, a miłość opiekunką. — „Nieprawdaż, moja dobra Kornelio, ty kochasz mię przecież, choć jam ciebie nie godny? Nie prawdaż moja piękna Kornelio? ty jesteś jeszcze wierniejszą, jak piękną. Nie prawdaż, moja mała Kornelio, ty co masz wkrótce zostać mą małżonką?”

Tak marzyliśmy o planach przyszłości, kiedy służebna weszła i zameldowała jakiegoś hrabiego.

„Kornelja nie przyjmuje wizyt!”

Zaledwem wymówił te wyrazy, kiedy hrabia stanął przed nami.

Proszę mi przebaczyć moje natręctwo, muszę z panią pomówić.

„Siadaj pan z łaski swój.”

Hrabia był wyraźnie zakłopotany spostrzegłszy, że gram rolę gospodarza, i rzekł: „Jestem nadzwyczajnym wielbicielem sztuki dramatycznej i muszę pani przedewszystkiem wyrazić moją radość z tego, że teatr węgierski posiada taką artystkę jak panna Kornelja.

„O! — pan bardzo łaskaw!”

„Wreszcie przychodzę tutaj w innym jeszcze celu. Jestem ze Siedmiogrodu. Klausenburski teatr jest obecnie najlepszym w naszej ojczyźnie i cieszyłbym się bardzo, gdybym panią mógł dla tego instytutu pozyskać. Przy dobrej woli pani, przysłoby mi to tem łatwiej, iż posiadam znaczne wpływy dyrekcyi.

„Jestem narzeczonym téj pani i zaangażowanie jój bezemnie jest niemożliwem.”

„Tem lepiej — odjeżdżam jutro a w przeciagu dwóch tygodni będziecie mieli w swem ręku kontrakty.

Przyjęliśmy propozycyą, podziękowali, a po trzech tygodniach ogłosiły afisze pierwszy nasz występ w teatrze Klausenburskim.

V.

Nie długo już pociągnie się opowiadanie, nie bójcie się, najwyżej jeszcze ciąg dalszy, a cała historia się skończy. Teraz nadchodzi scena, jakiej galerya zwykła przyklaskiwać. Będą wrzaski, hałasy, kłatwy, mordy. Mój Boże! Jak to dobrze, jeżeli się czasem ludzie nawzajem zabijają. Cóż za smutne pole działania w przeciwnym razie miałyby poeta lub aktor! Czyżby można zdobić się jeszcze na efektowne sceny? Ale od czegoż ma świat poetów i artystów? Mianowicie we Węgrzech, gdzie ich po części „glodriakami” nazywają. Cóż za dzielny byłby ze mnie może wieśniak. Teraz siedziałbym w domu, za piecem, małe dziatki igrałyby w koło mnie, przysłuchiwałbym się słodkiemu gderaniu ich matki, wyjrzałbym na pole, uprawiałbym kukurydzę albo pił z pocziwym sąsiadem. A tak role moje zapoznały mię z grzechem i namietnościami. Przedstawiałem charaktery innych potąd, ażem stracił mój własny, bo takie jest już godne kłatwy przeznaczenie aktora, że namietności ról jego tak weń

wsiakają iż i w życiu gra komedią. Uszłoby to jeszcze gdybym grywając książąt i hrabiów, stał się dumnym, rozrzutnym, kapryśnym, albo gdybym po przedstawieniu Hamleta, jeszcze przez czternaście dni był posępnym i rozstrojonym, gdybym jako Romeo czuł ciągle Julią w swych ramionach, a gdybym tylko nigdy Ottela nie był przedstawiał. Lecz dla czegoż nie? Byłaż ona Desdemoną? Wiem na pewno, wiem bardzo dobrze, że się rzuciła w objęcia hrabiego. Ach, prawda, hrabia, ten dzielny mecenas — na nim stanąłem, przerywając moje opowiadanie.

Hrabia i komedyant! Ktoby się jeszcze mógł namyślać, kogo wybierać? Tu gałganki, tam purpura, — tu sponiewierane szminkami blade oblicze, złożony papier, fałszywe kamienie i perły; tam piękna, uśmiechnięta twarz, złoto i dyamenty; tu dzika namietność, tam słodkie pochlebstwo; tu proste krótkie nazwisko, które wprowadzie każdy ulicznik zna, ale nikt nie szanuje; tam wielki błyszczący tytuł, przed którym każdy kapelusz uchyla, którego właścicielowi nawet gmachy królewskie się otwierają. Ja mogłem jój ofiarować tylko czule serce i prozaiczne małżeństwo; hrabia mógł ją ozdobić klejnotami, otoczyć zbytkiem zrobić ją możną na wielkim świecie, aby potem przeprowadzić przez niezliczone łuki tryumfalne do bramy rozczarowania, gdzie mogłaby zaznać jeszcze zawsze spokojnego, pełnego pociechy życia, bo nie brak jeszcze młodych półgłówek, którzy w budoarze staréj aktorki więcej miłości i poezyi znaleźć się spodziewają, niż u jakiegokolwiek młodej dziewicy, i te jój błędy i złudzenia potem wieńczą wiernością i młodością.

— Kornelia wybrała jego i tylko ja a co najwięcej kilku mnichów i purytańskich moralistów mogłoby chyba twierdzić, że nie zrobiła jak należało.

Hrabia był wielkim panem, przytem krytykiem i mecenasem sztuki. W owych czasach nie było jeszcze tyle gazet co dzisiaj, a nadającymi ton byli u nas wówczas panice, a nie jak dzisiaj krytycy i recenzenci; mieli oni zresztą coś wspólnego z lichymi krytykami, bo znali się bardzo mało na rzeczy, rozprawiali przytem wiele, mieli zawsze swych wybrańców i takich, których zawsze prześladowali, grali niepospolitą rolę w intrygach teatru i ciągnęli ztąd zyski. Ale hrabia nie miał wolnego wstępu, abonował łożą, posłał podarunki na benefisy pojedynczych członków a ileż to razy puszczał między znajomych listy subskrypcyjne ofiarując pieniądz zebrany, potrzebującym pomocy artystom. Składał wiele na ołtarzu sztuki narodowej, ów szlachetny mecenas! A dalej jak był przyjemnym, nadskakującym i usługującym. Lubiał towarzystwo aktorek, ale i dla aktorów był zawsze bardzo uprzejmym. Mnie nawet wziął raz pod ramię, naturalnie nie na ulicy, ale zawsze wziął mię pod ramię! Drugi raz prosił mnie, bym go zechciał odwiedzić, najlepiej w porannych godzinach — kiedy sam się znajduje. Potem odwiedzał nas sam bardzo często. — Mówiliśmy wiele o sztuce i literaturze; o teatrach zagranicznych i o wielu innych rzeczach, bo hrabia był nietylko mecenasem, lecz także jak już powiedziałem, znawcą sztuki, rzadkim człowiekiem.

Kornelja przyjmowała go z pewną sztywnością, która mi się niepodobała. Prosiłem ją, by z nim była przyjaźniejszą. Hrabia jest naszym opiekunem, przyjacielem a przy naszym ślubie, do którego już jest nie daleko, bo potrzebne papiery są już w moim ręku, obiecał się nam družbować. Kornelja przyrzekła mi wszystko, tylko co do ślubu mniemała, że możnaby go odwlec, aż uskładamy sobie mały kapitalik, co w terażniejszych stosunkach łatwem będzie, bo jesteśmy oboje ulubieńcami publiczności. Wtedy może się i jej matka z nami pogodzi. O ile spokojniej będziemy się wówczas mogli osiedlić i nowe życie rozpocząć!

„O ty mała swawolnico, o czemże ty już nie myślisz? Jak mogłem cię kiedykolwiek mieć za lekkomyślną? Jesteś przecież troskliwszą, zapobiegliwszą niżeli ja sam. A jednak mój dobry przyjaciel, czarny sufler, ma ją za płochą kokietkę! — Niedawno podejrzewał ją nawet, iż hrabia nie jest jej obojętnym, ten cynik, ta usposobiona „nienawiść ludzi!“ Kochasz mię wiernie i gorąco. Powracasz mi na nowo czar pierwszych chwil naszej miłości i może dla tego tylko ślub odwlekasz, aby dłużej móżdż mą kochanką pozostać, bo już stare przysłowie powiada: „Małżeństwo jest grobem miłości.“

A jednak niepokoiły mnie słowa suflera. Nie na próżno ma on tę fizyonomią Mefistofelesa! Przecież on

jest moim najlepszym przyjacielem; życzy mi jak najlepiej. Wstydź się Dawidzie! Czy znowu chcesz być zazdrosnym, by cierpieć i być wyśmianym? — A jednak musiało się coś stać! — Cały świat patrzy na mnie tak szydęro, z takim politowaniem. Dla czego lituje się nademną? Zkąd te spojrzenia szydęro?! — O piekło! pozabijam tych bezwstydników. A publika — czy oszalała? Tylko tu i owdzie rzuca mi jak jałmużnę oklaski.

Cóż to zaszło? Czy powodzenie moje wzbudziło już zazdrość w mych kolegach, tych nędznych partaczach? Czemu to przypisać? Czy już tak nisko upadłem? Brakowało tylko, bym sobie płatnych klakerów przyjmował. Dajcie mi moje najlepsze role, cała publika musi wybuchnąć szalonym oklaskiem, a ja potem, gdy klaskać zacznie i zarzuci mię bukietami, powiem, że gardzę i jej oklaskami i kwiatami! — Cóż to znaczy? Już nie dają mi wielkich ról, odcinają mi gażę a dyrektor śmie mi mówić w oczy: „Jeżeliś pan niezadowolniony z tego, możesz iść, gdzie się panu podoba! — Głupiec! Kornelja odejdzie ze mną, a my dwoje tworzymy jądro twego towarzystwa. „Panna Kornelja nie może się na mnie skarżyć, jej niedawno gażę podwyższyłem — i spodziewam się, że nie będzie niewdzięczną!“

(C. d. n.)

JAKÓB DE TRÉVANNES.

przekład z francuskiego

F. W.

(Ciąg dalszy.)

— Dziękuję ci, rzekł Jakób, że nie zwątpiłaś o mnie co do przyszłości i wierzasz mi droga Genowefo, że interes, którego dziecko nasze jest zakładem, zawsze i mnie żywo obchodzić będzie, w którymkolwiek czasie do niego się odwołasz. Zwierz mi się bez obawy, jako przyjacielowi.

— Mój Boże, obawiam się mówić dalej, odparła, podnosząc ku niemu załzawione oczy; abym nie obraziła cię czasem niestósownem słowem. Gdybyś wiedział, jak pragnęłam wzbudzić w tobie trochę zaufania. Wiem dobrze, że niegdyś... ale odtąd tak się zmieniłam. Ale, gdybyś był pewnym swego przyjaciela, gdybyś go mógł uczynić szczęśliwym, pozwalając mu dzielić swe troski, powiedz, odmówiłbyś stanowczo pozwolenia mu ich odgadnąć? — A więc zaklinam cię, dodała z całą pokorą i czułością, że czuł się wzruszonym, pozwól mi być tym przyjacielem.

Jakób patrzył na nią, coraz więcej wzruszony.

— W istocie zaręczam ci droga Genowefo, odparł,

że nie znam przyczyny tej niespokojności, w jakiej cię widzę.

— O ja wiem wszystko, odparła żywo, wczoraj, przedemną, ojciec twój mówił o twoich kłopotach. Dowiadywałam się od Urszuli; ona mi powiedziała wszystko co się tyczy ważniejszych interesów, które cię zaskoczyły i które grożą niebezpieczeństwem twemu przedsiębiorstwu.

— Jakóbie jakiegokolwiek są moje błędy, jestem twoją żoną i noszę twoje nazwisko. Byłabym szczęśliwą, gdybyś sobie chciał to przypomnieć, choćby tylko dla twego dziecka. Czyż mój majątek nie należy równie do niego, nie jestże zarazem i twoim?

— Co mówisz odparł Jakób.

— Przepraszam cię, zawołała, znajdujesz się w obec trudnego położenia, z którego wiem, że łatwo będziesz mógł wyjść, ale chciałam uprzedzić tych, którzy przyjdą ofiarować ci swe usługi; jest to mojem prawem i obowiązkiem zarazem! — Byłabym szczęśliwą, gdybyś po-

zwolił mi odkupić tę pełną błędów przeszłość, gdzie narobił ci tyle cierpień. . .

Jakób wzruszony mimo udanej obojętności, nie mógł się oprzeć przykremu zakłopotaniu.

— Przyjmujesz? rzekła.

— Nie, dziękuję ci, odparł. Wyobrażasz sobie gorzej wypadek sprawy, będącej tylko kilkodniowym opóźnieniem; ale bądź przekonana, że zachowam dla ciebie wdzięczność z powodu tego kroku.

— O Jakóbie! zawołała, wdzięczność ty dla mnie!

— W naszym położeniu droga Genowefo, wszystko co się przyczynia do zobopólnego naszego szacunku nie jest bez wartości. Omyliliśmy się co do warunków szczęścia, którego nigdy nie mieliśmy osiągnąć. Może to jest więcej winą mojej dumy, niż tych błędów, które sobie przypisujesz. Ale jeżeli są obowiązki, których człowiek z charakterem nie może zapoznać, albo nie dające się naprawić nieporozumienia, po za którymi nie masz zgody, wierzę mi, że zatrzymam dla ciebie uczucie przyjaciela. Prawo, które nas związało, rozwiąże nas, nie czyniąc ujmy zobopólnemu naszemu szacunkowi; jesteś młoda, stworzysz sobie nową przyszłość, życie odpowiedniejsze twoim zachciankom, których nie byłbym potrafił zadołować. . .

Słyszając to, Genowefa widziała z boleścią, znikające swe nadzieje.

Mowa tak wyraźna, głos tak pewny, nawet ten ton taki swobodny, okazywały stanowczość zamiaru. Obracając się, aby ukryć, iż naraz wzrok jej padł na stolicek przy kominku: leżała tam robota kanwowa na pół złożona; obok koszyk z wełną. . . Okropna boleść ścisnęła jej serce, kobieta jakaś stanęła pomiędzy nią a nią. . . zrozumiała, że była zgubiona. Przez jakąś intuicję Jakób pociągnął wzrokiem za jej spojrzeniem. Po wzruszeniu, które ją na wskroś przejęło, odgadł to. Skoro ku niemu twarz zwróciła, iż spływały jej po licach. Milczenie zapanowało pomiędzy nimi. Wzruszony litością podał jej rękę; wzięła ją z rezygnacją złamanego serca.

— Żegnaj cię! . . . rzekła powstając

Bezprzytomna, złamana boleścią, widząc się samą, wybuchła głośnym płaczem. Zeszła ze schodów, trzymając się poręczy, ledwie mogąc dojść do powozu. Gdy przystępowała próg domu, nadchodziła kobieta: była to Aurora. Wzrok ich skrzyżował się szybko jak błyskawica. Genowefa pojechała do domu; zadyszana, szalona, Aurora wbiegła do mieszkania Jakóba.

— Ona ztąd wyszła? zapytała się z cierpką gwałtownością.

— Widziała cię?

— Po co przychodziła?

Jakób musiał długo ją uspokajać. Opowiedział jej cel odwiedzin Genowefy.

Skorzystał z tej rozmowy, aby jej oświadczyć jasno swoją decyzję. Odtąd wiedziała, że połączenie ich było niepodobnem.

VI.

Rodzina de Trévannes zanadto stała na widowni świata, aby dziwne położenie, wywołane powrotem Genowefy, mogło pozostać w tajemnicy. Sposób życia w pałacu Fourchamp był uderzający, a chociaż wiadano, że pani de Trévannes jeszcze nikogo nie przyjmuje, niepodobnem było uniknąć stosunków serdeczniejszych i należnych

wizyt. Z pewnej oziębłości, zdradzającej zwykle poróżnienie w małżeństwie, zaczęto wkrótce wyciągać rozmaite wnioski. Stwierdziwszy, że pomimo kilkurazowej bytności Jakóba u żony, nie mieszkali pod jednym dachem zgodzono się, że to musi być jedna z tych dobrowolnych separacji, tak często zdarzających się w naszym świecie, a zdających się być określonym stanem w naszych dwuczynnych prawach. Dla jednych nagła zmiana życia Genowefy, jej oddalenie się od świata, tłumaczone było jako dobrowolna pokuta za jakiś błąd nieznan, dla drugich była ona ofiarą Jakóba.

Ale mało jest zagmatwanych położań, których obudzona ciekawość nie przeniknie tajemnicy. Stosunki Jakóba z Aurorą nieraz już były się zdradziły. Pochwycono spojrzenia, śledzono ich zachowanie się ze sobą, a nawet tę udaną obojętność, pod którą chcieli ukrywać swą tajemnicę. Tak daleko już zaszło, że pewnego dnia zaczęto mówić o wycieczkach Aurory na ulicę Assas i kilku schadzках, jakkolwiek zręcznie ukrywanych. Jednakże rzeczywista godność i reputacja cnoty uznana przez wszystkich w poważnej bretonce nie zgadzała się z takim rozgłosem, aby można było przypuścić podobny upadek. Zresztą wzięły przyjaźni łączące ją z Genowefą broniły ją przeciw zdradliwemu obwinianiu, którego podejrzenie powinna była odeprzeć prawością swęj natury.

W tej pełnej tajemnicy miłości, Aurora oddana szalonym niepokojom, nie mogąc już nad nimi panować, stawała się nieraz tak nieostrożną, że niepodobnem było wątpić. W krótkie świat nie oszczędzał dwojga kochanków, a pan de Rioux przestrzegł o tem kilka razy Réginę; gdy nastąpiło spotkanie Aurory z Genowefą na progu domu Jakóba. Chociaż była mogła nadużyć łatwowierności młodej kobiety, Aurora obawiała się jednakże następstw tego wypadku. Miała na ziele, że nie była poznana. Boć dla czegoż Genowefa nie byłaby z nią rozmawiała? Prawie już była przekonana o śmieszności swych obaw, kiedy nadszedł Ryszard. Przeczując jakąś przykrość przyjęła go z spokojem, udając, że o niczem nie wie.

— I cóż! mówiła dość swobodnie, przynosisz mi pan jakie dobre nowiny?

— Złe, bardzo złe, odpowiedział, proszę panią, abyś była łaskawą udać się jaknajspieszniej do mojej siostry, chce się z panią widzieć, a nie jest w stanie sama tu przybyć.

— Ale czegoż chce odemnie? odparła Aurora, rumieniąc się.

Ryszard powiedział jej, że wczoraj Genowefa wyjechała sama z domu, i powróciła w stanie nieopisanym. Gdzież była? Nie chciała odpowiadać na ich zapytania.

— Z pewnością, że pani powie o wszystkim, dodał. Podnosząc oczy, Aurora spotkała się z jego wzrokiem, zdawało jej się pochwycić w tam spojrzeniu odbłysek pogardy.

Zniechęcona dłuższem udawaniem, powzięła nagle postanowienie i rzekła zimno:

Wróć pan do niej, będę tam w tym samym czasie jak pan. . .

Skoro Ryszard odszedł, zadzwoniła na służącą i ubrała się szybko. Co chciała Genowefa od niej? Niezawodnie wiedziała o wszystkim. Co ją to obchodziło? Otwarte wyznanie mniej będzie przykrem jak to okropne ukrywanie się, ciężące na niej jako tchórzstwo. Przybywszy do pałacu Fourchamp odzyskała pewność siebie. Pierwszy raz wchodziła tam z podniesionem czołem. Znużona w końcu kłamstwem i upokarzającą obłudą, odetchnęła. Urszula czekała ją z zaczerwienionymi oczami i ze smutną twarzą.

— A, Bogu dzięki, że pani już jesteś.

I przeprowadzając ją przez salon i inne pokoje, zaprowadziła do pokoju pani de Trévannes. Tam uchylając po cichu drzwi sypialni:

— Genowefo, rzekła, to pani de Ploëven.

Poczem zostawiając Aurorę, odeszła.

Leżąca na szezlagu Genowefa, była tak bladą, jak batyst poduszki — na której opierała swą głowę. Nie podawszy jęj ręki, wskazała pani de Ploëvon krzesło przygotowane obok siebie. Aurora przestraszyła się zmianą jęj twarzy.

— Dziękuję pani, żeś przyszła, rzekła Genowefa, bo ja nigdy nie byłabym w stanie udać się do niej.

Słowa te powiedziane lodowatym głosem, kazały domyślać się Aurorze początku ważnej rozmowy. Zmuszona przyjąć walkę, nie cofnęła się.

— Słucham panią, rzekła.

— Wczoraj, mówiła dalej z goryczą Genowefa, w uniesieniu nieroztopnego przywiązania, posłałam do mego męża, w nadziei ocalenia go od nieszczęścia, które sądziłam iż zagraża mu. Widziałam panią wchodzącą, kiedy wychodziłam z jego mieszkania. Zrozumiałam wszystko.

Aurora wyprostowała się. Dumna, nielitościwa, gotowała się do odpowiedzi.

— Jakob poświęca mnie, bo kocha panią, mówiła dalej Genowefa, kładąc w te wyrazy, jakoby krwawy wyrzut jęj tak dawno nadużywanęj przyjaźni, — a dzisiaj, kiedy wiem o wszystkim, błagam panią, tak samo, jak dawniej...

— Co pani chcesz odemnie? zapytała sucho Aurora.

— Mego męża! odparła Genowefa, ojca mego dziecka!... Widzisz pani, że cię nie oskarzam, że cię błagam tylko. Jeżeli miłość mieści w sobie rozkosze, obowiązek daje szczęście w nagrodę.

— O jakim szczęściu pani mówisz? zapytała zimno Aurora, o swoim, lub Jakóba? Miałas je w swoim ręku, co z nim zrobiłaś?

Genowefa wstrząsała się z bólesci.

— Niestety! pokutuję za to, rzekła.

— Pani pokutujesz. A więc ja, ja go kocham i poświęcam się dla niego. Przycisnęłam go do serca, podniosłam. Bezemnie gdzież by był w tej chwili? W której części świata ukrywałby swą boleść? Dzisiaj znalazł napowrót siłę duszy i serca. Żyje i czuje się szczęśliwym.

— A! pani jesteś litościwa! zawołała Genowefa. Tak, jakkolwiek dusza moja rozdarta jest boleścią, uznaję, że jestem ci winna może i życie. Jeszcze raz powtarzam że cię nie oskarzam, ani walczę przeciw tobie. Jesteś kochaną. — Kochaną, powtórzyła z tłumionem łkaniem. Na chwilę zamilkła, jakby przyciśnięta wzruszeniem. Aurora pozostała obojętną, zimną.

— Mój Boże! miałam nadzieję przekonać panią i rozczulić, rzekła z rozpaczą Genowefa. On jest moim mężem i nie jest jednym z tych, któryby bez żalu zrywał ze swemi zasadami. Skoro nas opuści, dziecko moje i mnie, pomyśli może o dwóch losach, które poświęcił. Mój syn jest niewinny, jego prawa są święte, ojciec do niego należy, a więc, gdybym panią błagała?...

Wymówiła to z rozpaczą, skadając ręce. Aurora słuchiła w sobie litość.

— Za późno, odpowiedziała. Jeżeli pani go tyle kochasz, żeby mnie błagać w imię swęj przyszłości, ja go tak kocham, że myślę o jego szczęściu, droższem dla mnie nad moje własne. Kocham go tyle, żeby się go wyrzec, zdecydowana na poświęcenie samęj siebie, choć-

bym miała jęczyć i płakać za nim, do końca mego życia. Gdyby panią kochał, sama popełniłabym go ku tobie. — Lecz co mi pani mówisz o swojej boleści i żalach? Czy wrócisz mu utraconą wiarę? jego dumę upokorzoną, najdotkliwszą urazą?

Ugodzona w serce, Genowefa, wydała okrzyk zranionej lwicy i przy tej kłótni dwóch kochających kobiet, przyszło nawet do zapomnienia stanowiska, wychowania i dumy. Aurora przestała mówić, zdumiona nagłą zmianą Genowefy. Nie była to już ta sama kobieta, błagająca ją, nie ważąca się dodawać nagany do swojej proźby. Ponura decyzja uwidatniała się na jęj czole; łyzy jęj oschły. Z oczami utkwionemi w rywalcę, rzuciła jęj te słowa krótkim i wyniosłym tonem:

— A jeżeli będę się bronić?

Na to wyzwanie, Aurora powstała. Zmierzyły się wzrokiem, Genowefa unosząc głowę z poduszek, zawsze blada, gorączkowo ożywiona, z dwoma czerwonymi plamami, które nagle na twarz jęj wystąpiły.

— Dobrze! rzekła Aurora trzęsącym głosem, broń się pani! Oświadcz Jakóbowi swój spóźniony żal, niechaj rozstrzygnie.

Aurora wróciła do domu strasznie wzburzona. Pani Berthoret przeczuła, że zaszło coś ważnego.

— Mój Boże, co tobie? zawołała.

— Nic, zrzuciłam z siebie niegodną rolę, oto wszystko.

Regina nie chciała się dowiadywać. W tym momencie anonsowano pana de Rioux. Miały przepędzić wieczór u hrabiny de C..., baron ofiarował się jeszcze wczoraj, że będzie mi towarzyszyć.

— Przybiegam po rozkazy pań, rzekł.

Przyjdź pan wcześniej, odrzekła Aurora, pan de Trévannes pójdzie także z nami.

Hrabina de C... była ową dawną przyjaciółką, która serdecznem swem pośrednictwem dopomogła ożenieniu Genowefy. Obeznana z smutnymi następstwami tego związku, pochwałała głośno Jakóba co do rozłączenia, nakazanego mu własną swoją godnością, jako jedyną ucieczkę w smutnem jego położeniu i skoro później, gadanina światowa potwierdziła nieporozumienie małżonków, energicznie popierała męża w swoim otoczeniu, nie pozwalając go oskarżać. Ale około fotelu poważnej wdowy, która nie nosiła głowy dla proporcji, obmowy nie ustawały. Odgłos stosunków Jakóba z Aurorą doszedł do niej, najpierw jako potwarz przez nią odepchnięty. Pani de Ploëven była przyjaciółką Genowefy, coś więc naturalniejszego, jak szczerza ich przyjaźni, wzmocniona jeszcze pobytem Aurory w Szwajcaryi. Jednakże hrabina nie mogła ująć usłyszaniu oskarżeń nawet dowodów, które się nie dały tak łatwo utaić. Obserwowała tę rzecz bliżej, a doświadczona wielkiem przyzwyczajona zgłębiać ludzkie tajemnice, nie mogła się mylić. Przekonała się dostatecznie, kiedy stary jęj przyjaciel, pan de Trévannes, przywiózł Genowefę do Paryża. Poprawa młodej kobiety, narodzenie dziecka, zmusiły ją w krótkie zarówno z całą rodziną spodziewać się pojednania.

Tego wieczoru oczekiwała ojca Jakóba, uwiadomioną będąc przez niego, że odjeżdżając jutro, przyjdzie ją dzisiaj pożegnać. Dodał, że pobyt jego w Paryżu nie pociągnął za sobą pomyślnego skutku, którego sobie życzył. To post scriptum szczególnie zmartwiło hrabinę. Kiedy nadszedł pan de Trévannes, mnóstwo osób było już w salonie. Przybył sam. Genowefa będąc cierpiącą nie mogła przyjść, również Urszula, pozostała przy niej. Prawie w tej samęj chwili, Aurora wchodziła z Reginą i panem do Rioux, Jakób szedł za niemi.

Spostrzegwszy ich, hrabina zrobiła poruszenie gniewne

i zmarszczyła brwi. Regina, oparta na ramieniu barona, szła pierwsza. Hrabina podała jej rękę z uśmiechem.

— Tysiączne ci dzięki składam, rzekła, miło mi, że przypomniałaś sobie starą swą przyjaciółkę; ale zapewne wiesz o tem, że ty zawsze jesteś tutaj mile widziana.

Kiedy to mówiła, udała, że nie widzi wcale Aurory, a obróciwszy się ku sąsiadce zawiązała z nią przerwaną rozmowę.

Tyle niegrzeczności było w tem dobrowolnym zapomnieniu; taka wyraźna intencja obrazy, że Aurora zbłądła. Oslupiała, pomieszana, upokorzona nagłym milczeniem świadków tej sceny, zachwiała się pod tym ciosem. Baron uczynił ruch zdumienia. Ujrawszy Aurorę, bliską omdlenia, zbliżył się szybko, wziął ją pod rękę i wprowadził ze sobą. Jakób oddalony o parę kroków od nich nie spostrzegł nic z tego co zaszło. Widząc ich uchodzących, pospieszył za nimi.

— Nie chodź pan z nami, rzekł prędko baron, zostań na Boga!... Pani de Ploëven jest cierpiącą, odprowadzam ją. Aurora przepędziła okropną noc. Nazajutrz rano pobiegła do Jakóba. Regina powiedziała mu już o wszystkim.

— Ach! rzekł, zapłacą nam oni drogo to upokorzenie.

Tymczasem trzeba było ująć nieunikniomych następstw tego skandalu. Udecydowany został wyjazd Aurory do Kéronac, gdzie miała oczekiwać ślubu, Jakób tymczasem głośno objawiwszy swój zamiar, miał rozpocząć proces rozwodowy. W tym momencie służący anonsował pana de Trévannes.

— Twój ojciec!... rzekła z trwogą Aurora.

— Właśnie dobra sposobność do ostatniej rozmowy. Przejdź prędko przez mój pokój, a ja pójdę przyjąć go do salonu. Za godzinę przybędę do Reginy.

I przeprowadzając ją szybko do drzwi, uspokoił jej obawy ostatnim pocałunkiem. Zamknawszy drzwi i spuściwszy portyere, Jakób poszedł naprzeciw ojca i prosił go do swojej pracowni.

— Mój kochany, rzekł pan de Trévannes siadając, mamy z sobą o ważnych rzeczach do pomówienia. Przywiązanie nie potrzebuje krętych dróg, a jeżeli sprawa, o której mam z tobą mówić jest delikatną dla ojca w obec syna, nie mniej między nami dość jest zaufania, abym mógł otwarcie ją poruszyć.

Po tym początku, Jakób odgadł wstęp, upragnioną przez siebie rozmowę.

— Moje życie jest otwarte, jak me serce, odparł podając rękę panu de Trévannes, którą tenże przyjął. Pytaj się mój ojciec drogi, syna równie jak i przyjaciela.

— Dobrze, dziękuję, nie wątpiłem o tobie.

— Słucham cię, dodał Jakób, jestem gotów odpowiedzieć ci z całą szczerością.

Pan de Trévannes zdawał się wahać na chwilę, wreszcie rzekł.

— Moje drogie dziecko, wiesz, że z nadto znam życie, aby nie pojąć tego, jak mało można dawać wiary gadaninom świata i jego obmowom. Wyznaję ci nawet że z wielką przykrością widzę się zmuszonym wymienić tu nazwisko osoby, której charakter zdawał się odpychać nawet podejrzenie. — Mówię tu o pani de Ploëven.

— O Pani de Ploëven, zawołał Jakób, zatrwożony tym przedmiotem rozmowy.

— Tak, odparł pan de Trévannes, patrząc mu w oczy, chodzi tu o panią de Ploëven. Mówią o niej iż jest twą kochanką. — Czy to prawda?

— Nie, nie, mój ojciec, zawołał Jakób, ty przynajmniej nie używaj tego wyrażenia, które musiałoby być obelgą, dla łączącego nas przywiązania. Ja ją kocham; ona jest moją żoną. I czekam tylko na rozwód, który mnie rozwiąże, aby jej dać moje nazwisko.

Twoje nazwisko? powtórzył zdumiony pan de Trévannes.

Przebac mi ojciec moje słowa i nie oskarżaj mnie, że robiłem z tego przed tobą tajemnicę, będącą także i jej tajemnicą, ale ja także posiadam twoje serce i nie wątpię, że przebaczysz mi to szczęście, wspierające mnie w tych strasznych chwilach mego życia, w których nie myślałem nawet troszczyć się o utraconą przyszłość. Miałem wyjechać, zwątpiały, znękany smutkiem, którego goręcy ukrywałem przed tobą. Pani de Ploëven pokochała mnie, a miłość jej dodała mi nadziei, chęci do życia. Wróciła mi energią, odwagę i wiarę w życie. Ty, który ją znasz odgadłeś jej rozsadek, jej cnotę wyższą nad nędzne sądy ludzkie nie mogące jej dosięgnąć. A więc wierząc w mój honor i jako moja żona przed Bogiem, dzieliła ze mną troski i radości, wspierając mnie i cała oddając się celowi mego życia. Przed chwilą nim przyszedł ojciec, ona tu była kość moją boleść, którą w skutek mnie poniosła, dumna swoją ofiarą i niczego nie żałując.... Teraz pojmujesz mój ojciec węzeł, który nas łączy.

Na wyjawienie takiej miłości, pan de Trévannes zdawał się przykutym do ziemi.

— A więc, rzekł, kiedy przed sześciu miesiącami pani de Ploëven przyjechała do Glycines, byłeś już jej kochankiem?

Przepraszam cię ojciec, rzekł Jakób mimowolnie się rumieniąc, niewypowiedziane okoliczności przyczyniły się do tego spotkania, którego bylibyśmy chętnie chcieli uniknąć; ale w tym czasie, przysięgam ci, stosunek mój do pani de Ploëven, był stosunkiem narzeczonego.

— Słucham cię mój drogi, mówił dalej pan de Trévannes, i wyznaję ci otwarcie, że nie poznaję ciebie z tego co mówisz. Nigdy nie byłem rygorystą, wiesz to dobrze, ale jakkolwiek bądź nazwiesz twój stosunek, świat nazywa panią de Ploëven twoją kochanką. Gniewam się o to za nią i za ciebie.

Nie jestemże wolnym przez rozłączenie, które wkrótce rozwód ma potwierdzić.

— Właśnie też przed odjazdem, przyszedłem mówić z tobą o twoim rozwodzie, mój drogi, rzekł pan de Trévannes.

— Ale ty sam przyzwoliłeś na niego mój ojciec, jako na jedyny środek, nakazany nam naszą własną godnością. Spodziewam się, że nie będziesz mi radził przyjmować napowrót na siebie roli kupionego męża, z której mi kiedyś robiono jawny zarzut, a która równie do twojego, jak i do mojego nie przypada gustu.

— Tak, to prawda, rzekł pan de Trévannes, ale zaszedł wypadek, którego nieprzewidzieliśmy oboje: to jest, kiedy twoja żona, zostawszy matką, uznając swoje błędy i błagając twego przebaczenia, tyle poweźmie ku tobie miłości, aby wyrzekłszy się majątku, świata i zbytków, zaprzagnąć żyć razem z tobą.

(C. d. n.)